

ELIZA GRZESZKÓWA

# PRZYGODY JASIA

OPOWIADANIE DLA DZIECI

z rysunkami

ANTONIEGO KAMIĘŃSKIEGO



LWÓW  
KSIĘGARNIA H. ALTENBERGA  
1899



~~No 12~~

No 16

J. Horbut.



WYDAWNICTWO SPÓŁKI NAKŁADOWEJ.

---

# PRZYGODA JASIA

OPOWIADANIE DLA DZIECI

przez

Elizę Orzeszkową

z rysunkami

Antoniego Kamińskiego.

---



WARSZAWA

Skład Główny

w biurze i ekspedycji Spółki Nakładowej  
39. Nowogrodzka 39.

WARSZAWSKA Drukarnia i Litografia

# PRZYKŁADY

OPISYWAJĄCE

Дозволено Цензурою.

Варшава, 26 Августа 1896 г.

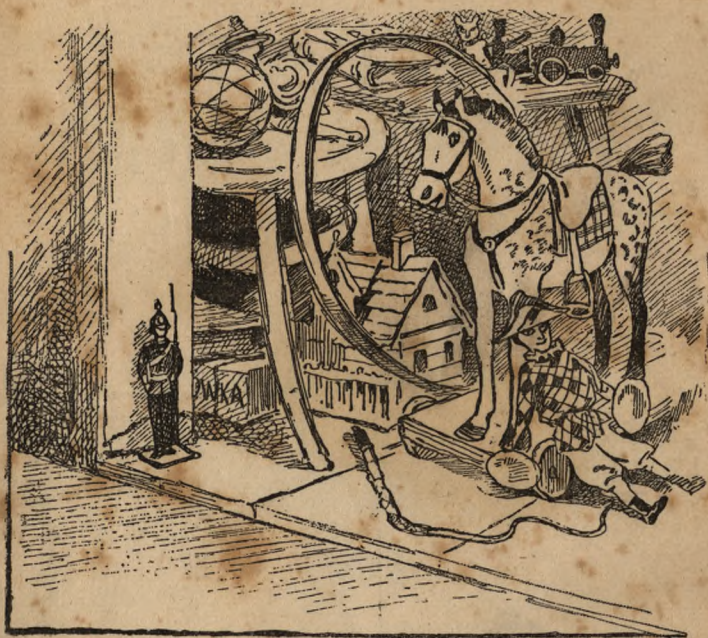
1706.



---

Warszawska Drukarnia i Litografia. Trębacka 11.

nr. 9.



W pokoju dzieciennym było mnóstwo zabawek.





1.

Dzień był zimowy i pochmurny, śnieg zaściewał ulice Grodna, ale Jaś wraz z rodzicami swemi, wstając od stołu, klaskał w dłonie, podskakiwał wysoko i, nie wiadomo już po raz który, ręce obojga rodziców całował. W wesołości tej Jasia nie było nic dziwnego. Ojciec i matka czule głaskali go po głowie i całowali w czoło; w jadalnym pokoju, w którym tylko-co obiad spożyto, panowało ciepło przyjemne. Zielone rośliny przypominały wiosnę i lato, żółty kanarek skakał po prętach ładnej klatki i wyśpiewywał zawzięcie, na bufecie stały resztki niedojezonych wybornych potraw i przysmaków — nako-

niec przez drzwi otwarte widać było pokój dziecinny, a w nim na podłodze i stołkach mnóstwo ślicznych zabawek: koni drewnianych, książek z obrazkami, łąmigłówek i t. d.

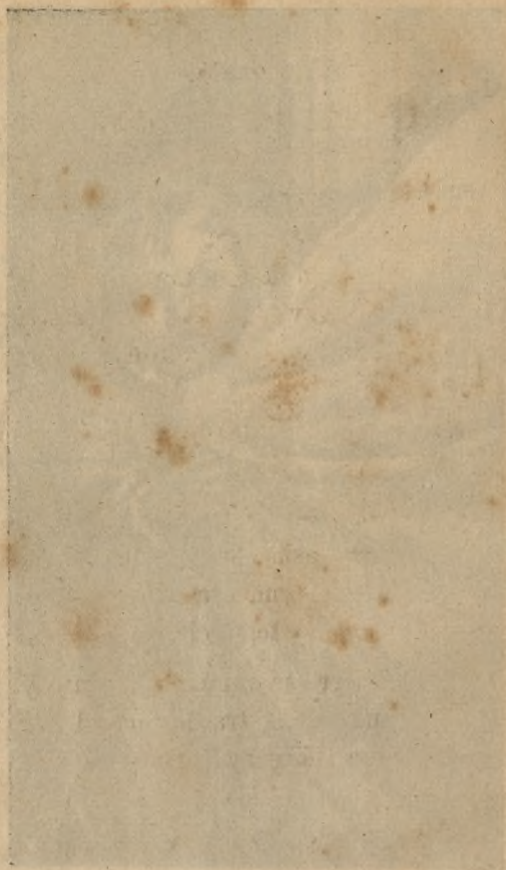
Jaś był bardzo szczęśliwym dzieckiem.

Dziś jednak, o, dziś spotkać go miała wielka i niezwykajna uciecha. Ciotka Jasia wydawała balik dziecinny, na którym znajdować się miało, oprócz ciotecznych braci i sióstr jego, wiele innych znajomych i nieznanomych dzieci, a rodzice sprawili mu na tę zabawę śliczne krakowskie ubranie. Ubranie to Jaś włożyć miał zaraz po obiedzie, a potem z boną swoją, panną Pauliną, udać się do domu ciotki, dokąd też, w parę godzin potem, przybyć mieli i jego rodzice.

Jaś aż drżał ze wzruszenia, kiedy, z pomocą panny Pauliny, kładł długie buciki z błyszczącymi podkówkami, białą bluzę, suto, czerwonymi taśmami naszytą, i granatową pelerynkę, która tak od złotych blaszek błyszczała, jak gdyby ją kto usiał iskrami. Ale gdy zobaczył pasek skórzany, gęsto stalowymi guzikami nabity, z mnóstwem przy-



Jaś z przestachu schował się za poręcz łóżka. 7



wiązanych doń kólek brzęczących i czapeczkę granatową, siwym barankiem oszytą, radość jego granic nie znała.

W tem garderobiana, Andzia, weszła do dziecinnego pokoju i oznajmiła matce Jasia, że jakiś żebrak przyszedł i o wsparcie prosi. Usłyszawszy to, Jaś wmgnieniu oka zapomniał o nowym stroju i doznanej przed chwilą radości, a krzyknąwszy z przestachu, wyrwał się z rąk panny Pauliny, która go właśnie ślicznym pasikiem opasać chciała, i co prędzej schował się za wysoką poręcz łóżka.

— O, Boże! — ze smutkiem w głosie zawołała matka Jasia—zawsze to lękanie się ubogich! Jasiu — mówiła dalej — proszę mi zaraz zaprzestać tego chowania się...

— Nie mogę, mamuńciu, doprawdy, nie mogę, tam... pewnie... straszny dziad jakiś!— odpowiadał z za poręczy drżący i żaloszny głosik Jasia.

— Cóż to się dzieje? Dlaczego Jaś chowa się za łóżko? wchodząc do pokoju, zapytał ojciec Jasia.

Matka opowiedziała mu wszystko, co zaszło, a potem z wielkiem zmartwieniem mówiła, że Marjanna, niańka Jasia, a także i panna Zofja — ta bona jego, która pannę Paulinę poprzedziła — tak mu zawsze za niegrzeczność i nieposłuszeństwo groziły dziadem brodatym i noszącym wielką torbę, w którą niegrzeczne dzieci zabiera, że do tego czasu, pomimo wszelkich usiłowań i jej i panny Pauliny, Jaś nie przestaje lękać się ubogich, myśląc zawsze, że każdy z nich jest takim dziadem z długą brodą i wielką torbą. Opowiadaniem tem ojciec Jasia bardzo był rozgniewany i surowym głosem powiedział, aby ubogiego przywołano do garderoby, a Jaś powinien mu sam zanieść i grzecznie podać jałmużnę.

— Ojczel! — coraz płaczkliwiej wołał z ukrycia swego Jaś — nie mogę, doprawdy, nie mogę... pewnie ten dziad brodaty i z wielką torbą.

Tu panna Paulina pochyliła się i cichutko szepnęła:

— Niech Jaś rodziców nie martwi...

Mama łzy ma w oczach, a ojciec ze zmartwienia zachorować może.

Na dobre i kochające rodziców serce Jasia słowa te wpływ wywarły. Z rozczochranemi włosami wyszedł z ukrycia i ze spuszczonei oczami stanął przed ojcem. Ojciec dał mu srebrny pieniążek, powtarzając raz jeszcze, żeby zaniósł go i grzecznie oddał czekającemu w garderobie żebrakowi.

O, tak, przypuszczenie Jasia sprawdziło się zupełnie. Żebrak miał długą bardzo brodę i wielką płócienną torbę, zawieszoną na plecach. Stał oparty na grubym kijku i pół głosem odmawiał pacierze.

Jaś miał szczerą ochotę zaraz od progu garderoby uciec i schować się znowu za łóżko; ale panna Paulina trzymała go za rękę i ciągle po cichu mówiła, że nie trzeba rodziców martwić i że mama miała łzy w oczach.

Szedł więc, ale drżał i oczy szeroko ze strachu otwierał. Sam nie wiedział, kiedy i jak oddał pieniążek żebrakowi, a spełniwszy już rozkaz ojca, wyrwał rękę z dłoni panny Pauliny i zdyszany tak, jak gdyby był całą

wiorstę ubiegł, wpadł do dziecinnego pokoju. Tu znalazł oboje rodziców, którzy długo i po kolei przedstawiali mu, że lękać się i nie lubić ubogich jest rzeczą bardzo, bardzo nieładną, że wszyscy pomyśleć mogą, iż Jaś ma złe serce i jest bardzo nierozsądnem dzieckiem, że najświętszym obowiązkiem ludzi bogatych albo dostatnich powinno być wspieranie tych, którzy mniej od nich posiadają.

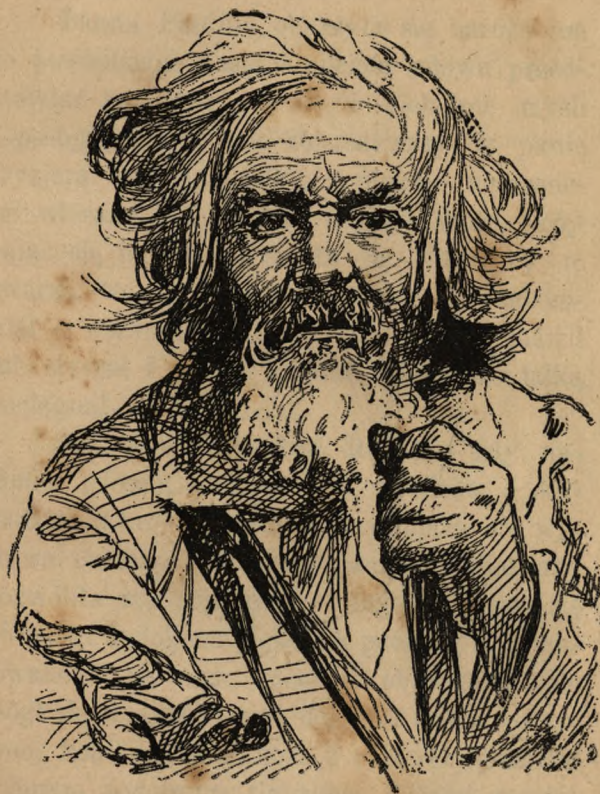
Jaś przedstawień tych słuchał z pokorą i uszanowaniem, ale gdy rodzice odeszli, do panny Pauliny powiedział:

— Doprawdy, nie wiem, co ja temu winien jestem, że się tak dziadów boję... Mówiłem przecież, że i ten będzie pewno z długą brodą i wielką torbą. A czy nieprawda? Każdy ubogi jest takim strasznym dziadem.

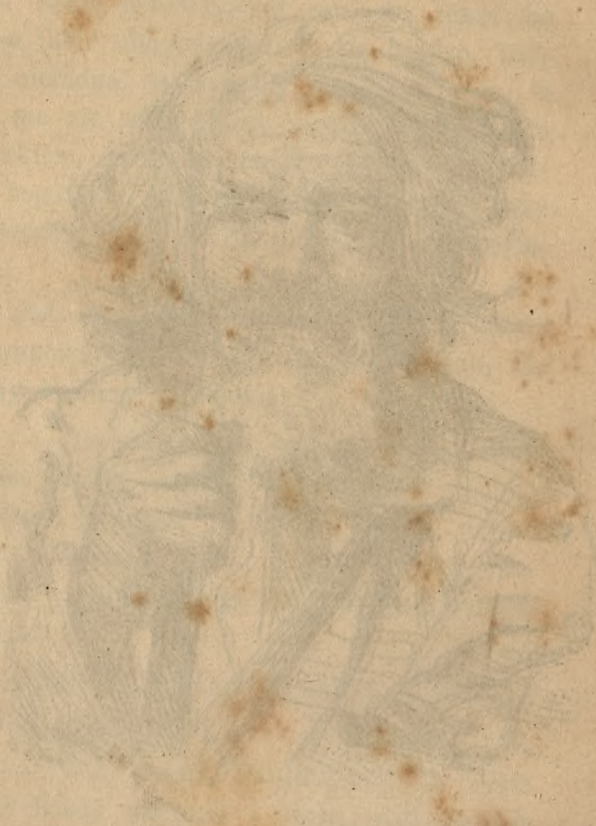
Kiedy już z panną Pauliną wychodził na ulicę, odezwał się:

— Wie panna Paulina, co ja sobie myślę? Kiedy wyrosnę i będę miał swoich służących, rozkażę im, aby nigdy żadnego





Ż e b r a k .



ubogiego do mieszkania mego nie wpuszczali.

Panna Paulina oburzyła się bardzo na to powiedzenie Jasia i chciała znowu przedstawiać mu, jak on źle i nieładnie myśli i postępuje, ale Jaś, zobaczywszy w oknie fryzjera ogromną lalkę, z pięknie uczesanymi włosami i w perłach na szyi, która, okręcając się powoli, zwracała się ku ulicy to twarzą, to plecami, w mgnieniu oka zapomniał o wszystkim, co przed chwilą mówił lub słyszał i pannę Paulinę ku oknu z lalką pociągnął.

Stali tam oboje dość długo, a gdy nakoniec odeszli, uwagę Jasia zwróciła o kilkadziesiąt kroków stamtąd znajdująca się wystawa cukierni. Poprosił pannę Paulinę, aby pozwoliła mu popatrzeć i długo nacieszyć się nie mógł widokiem pięknych pudełek, z wymalowanymi na nich różnymi obrazkami, nie mógł się nadziwić wyrobionym z cukru koszykom, konikom, aniołkom z różowemi buziami i innym podobnym figurkom. Dalej znowu, na innej już ulicy, była księgarnia, za której oknem, nad porozkładanemi książkami w ślicz-

nych oprawach znajdowała się dziwna bardzo i piękna maszyna. Składała się ona z kilku różnokolorowych kólek, które, na mosiężnych drutach osadzone, okręcały się około jednej kuli, dużej i bardzo błyszczącej. Panna Paulina wytłumaczyła Jasiowi, że maszyna ta służy do pokazywania dzieciom, jakim sposobem ziemia i inne gwiazdy obracają się na około słońca, czem Jasia tak zaciekawiła, iż postanowił prosić ojca, aby maszynę tę kupił i dużo, dużo o słońcu, o ziemi i gwiazdach opowiedział.

Tak co chwilę przystając, powoli zbliżali się do celu swej wycieczki, a ponieważ ciotka Jasia mieszkała dość daleko, znajdowali się więc w połowie drogi, gdy zmrok zapadać zaczął. Jednocześnie zobaczyli sporą gromadę ludzi, która, zapełniając sobą całą środek ulicy, biegła naprzeciw nich, z głośnym krzykiem i śmiechem. Jaś, skłonny do trwogi, zląkł się trochę; ale panna Paulina powiedziała mu zaraz, że nie ma wcale przyczyny do obawy, bo ludzie ci pewnie tak biegną za człowiekiem pokazującym sztuki, albo jakieś osobliwe zwierzęta.



Jaś przed oknem księgarni.



— Sztuki! zwierzęta! — zawołał Jaś, i aż podskoczył z radości. — Chodźmy — wołał — chodźmy! moja droga panno Paulino, chodźmy zobaczyć, jakie to sztuki, czy zwierzęta!

Z całej siły ciągnął za sobą pannę Paulinę, która, śmiejąc się, zawołała:

— O, patrz! patrz! jaka ładna małpeczka!

Ludzie, którzy tak gromadnie tłoczyli się na ulicy, krzyząc i śmiejąc się, biegli za człowiekiem, niosącym na zgarbionych plecach katarynkę, ozdobioną u góry dwoma rzędami malutkich lalek, a w rękę trzymającym długi sznur, na którym uwiązana była niewielka małpka. Stworzenie to było nadzwyczaj śmieszne. Z pod pasowego kaptanika ukazywał się z jednej strony krótki, kosmaty ogonek, z drugiej zaś wysuwała się głowa z twarzą bardzo do ludzkiej podobną, orzechowy kolor mającą i niezmiernie ruchliwą. Zwinna i zgrabna, wyprawiała najrozmaitsze skoki, to na ramię prowadzącego ją człowieka, to na katarynkę wskakując, to znowu po ziemi wywijając się jak-

by w tańcu. A miny robiła takie, że ludzie, patrząc na nią, śmieli się jak szaleni. To czoło marszczyła, to wargami prędko poruszała, to niosła do pyszczka jabłko, które trzymała w przednich łapeczkach i gryzła je tak prędko, jak gdyby lękała się, aby go jej kto nie odebrał, a oczy miała takie czarne i błyszczące jak paciorki i bystro niemi na wszystkie strony rzucała.

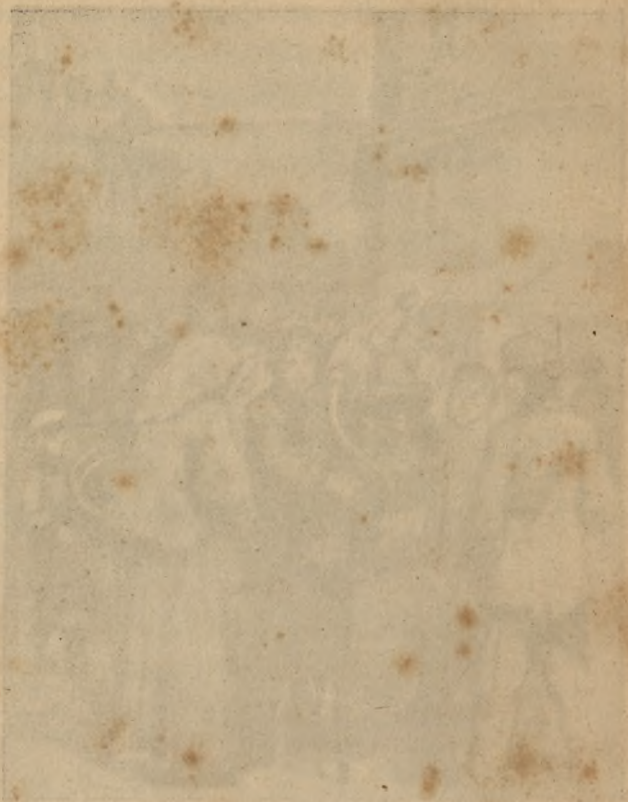
Jaś śmiał się, głośno i razem z panną Pauliną wciskając się pomiędzy tłum ludzi, do małpki podejść usiłował. Nie zważał wcale na to, że trącano go zewsząd i popychano, tak bardzo pragnął pogłaskać milutkie stworzenie, a przynajmniej przypatrzeć mu się zblizka

Nagle w tłumie zrobił się ruch, a wysoki jakiś i silny chłopak, popychany przez innych, wpadł pomiędzy Jasia i pannę Paulinę tak gwałtownie, iż roztrąceni od razu daleko się od siebie znaleźli. Jaś nie zwrócił na to uwagi, bo w tej właśnie chwili, człowiek prowadzący małpkę dotknął zapewne sprężyny jekiejś, znajdującej się w niesionem przez siebie pudle, a dotknięcie to





Małpka wyprawiała na katarynce najrozmaitsze skoki.



sprawiło, że z wnętrza pudła ozwała się muzyka skoczego walca i nieruchomo stojące dotąd dwa rzędy lalek poruszać się, łączyć w pary i tańczyć zaczęły. Lalki, poubierane w kolorowe suknie, tańczyły coraz prędzej i zawzięciej, a małpka, wskoczywszy na głowę właściciela swego, z kieszeni czerwonego kaftanika zaczęła wydobywać łupiny od orzechów i rzucać je na ludzi. Jedna z łupin, przez małpkę rzucanych, tak blisko przed twarzą Jasia przeleciała, że machinalnie zamknął na chwilę oczy. Gdy otworzył je, katarynka z tańczącymi lalkami i małpka były już tak przez ludzi otoczone, że Jaś dostrzedz ich nie mógł; słyszał tylko oddalającą się muzykę i czuł, że plecy, boki i ramiona od otrzymywanych wciąż potrażeń i uderzeń bardzo go bolały. Chciał obejrzeć się i poszukać wzrokiem panny Pauliny, ale nie mógł uczynić poruszenia najmniejszego: tak go ze wszech stron ściśnięto i wśród takiego znalazł się tłoku ramion, łokci, nóg, pleców i głów ludzkich. Chwilami uczuwał, że własne nogi jego odrywają się od ziemi. Nie szedł, ale był przez tłum unoszony. Kilka

razy już, już upaść miał, ale uczepił się z całej siły poły surduta jakiegoś wysokiego człowieka, który szedł tuż przed nim, a innym razem zawisł cały na wielkiej chustce, którą jakaś gruba kobieta była okryta.

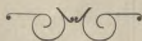
Nie wiedział już wcale, gdzie się znajduje, i tylko niewyraźnie zdawało mu się, że wraz z tłumem przebył parę jakichś zaułków, część jakiejś ulicy i spuścił się po pewnej pochyłości, kędy otworzyło się przed tłumem miejsce nieco obszerniejsze, placyk mały, niebrukowany i niskimi domkami ostawiony. Tu wielka gromada ludzi rozsypała się na kilkanaście małych gromadek, które z kolei malały także, bo składający je ludzie rozchodzili się w różne strony. Człowieka z katarynką i małpką wcale już widać nie było; nakoniec placyk stał się zupełnie pustym i tylko w głębokim zmroku drobne okna otaczających go domków migotały żółtymi światełkami, a pośród śniegu, zaścielającego ziemię, połyskiwała tu i ówdzie zamarzła w kałużach woda.

Jaś stał pośrodku placyku sam jeden, ogłuszony i wylekły, Po chwili dopiero obej-

izał się dokoła i bardzo żalosnym a zarazem bardzo słabym głosem zawołał:

— Panno Paulino!

Wołanie to powtórzył wiele razy, coraz żałośniej i niecierpliwiej. Żadnej jednak znikąd nie otrzymał odpowiedzi, a w dodatku, brzegiem placyku, przesuwają się co chwila cienie jakies, do ludzkich podobne, on zaś za nic w świecie, nie odważyłby się ku nim przybliżyć. Kiedy był mniejszym, lękał się bardzo cieniów i krzyczał ze strachu, gdy wypadkiem własny swój cień na ścianie zobaczył. Potem trwoga ta przeminęła, ale teraz oto wróciła. Chciałby iść, biedz, szukać i wołać panny Pauliny, a tu, gdy tylko krok jeden postąpi, cień jakiś wychyla się to z za domu, to z bramy jakiejś i mknie prędko brzegiem placyku, a choć zniknie, znajduje się wnet drugi i trzeci, i po dwa, po trzy na raz, sznurem za sobą ciągną.





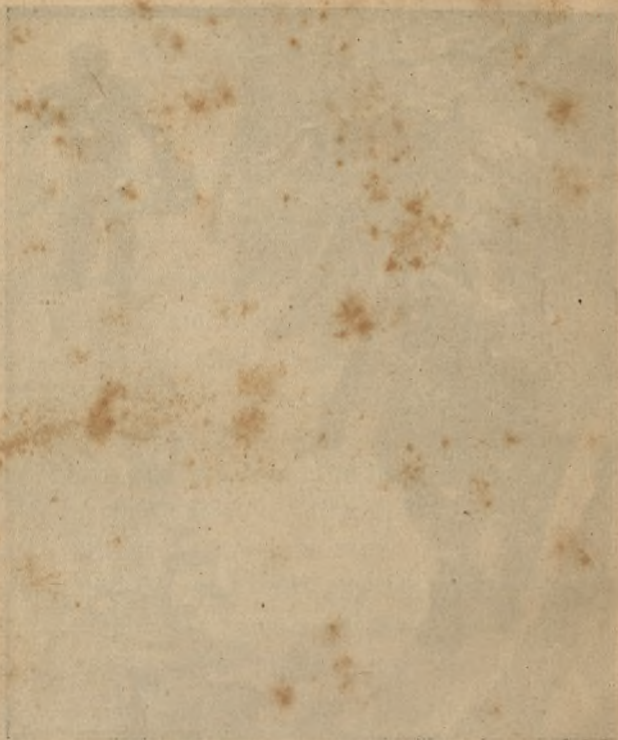
2.

nie wiadomo, jak długo Jaś stałby tak pośrodku pustego i ciemnego placyku, nie śmiąc postąpić w żadną stronę, gdyby jeden z tych cieni, które go tak przerażały, nie był skierował się właśnie ku niemu. Oderwał się od ściany jednego z domków i przez placyk szedł wprost ku Jasiowi, który dostrzegł wyraźnie, że od obu ramion jego zwisały dwa jeszcze inne cienie, podobne do cieni dwóch olbrzymich czapek, czy torb szeroko rozwartych.

Jaś krzyknął i z szybkością błyskawicy przebiegłszy placyk, przytulił się z całej siły do ściany jakiegoś domku. Cień jednak,



Jeden z cieni, które tak przerażały Jasia, skierował się ku niemu.



Wydawnictwo Literackie  
ul. Krakowska 10  
31-111 Kraków



niosący dwa cienie olbrzymich kapeluszy, czy torb, zbliżał się ku temu właśnie miejscu, na którem on szukał schronienia. Jaś drżał, ale najłżejszego poruszenia uczynić nie śmiał; stłumił nawet oddech w piersi i rad byłby schować się pod ziemię. Nagle spostrzegł, że przedmiotem jego trwogi był człowiek ubrany w barani kożuch i niosący na ramionach tak zwane *koromysła*, czyli drąg gruby, z przywiązanemi u obu końców wiadrami z wodą.

Spostrzegłszy to, Jaś oprzytomniał, uspokoił się trochę i pomyślał sobie, że i tamte wszystkie cienie są też zapewne niczem innym, tylko ludźmi, którzy w zmroku i przy błędnem świetle śniegu i gwiazd wyglądają jak cienie. Pomyślał także, że trzeba koniecznie coprędzej szukać panny Pauliny, albo drogi do domu i szybko postąpił naprzód.

Przebywszy placyk, znalazł się naprzeciw dwóch uliczek, rozchodzących się w dwie różne strony; którą z nich iść trzeba było, ażeby trafić do domu—nie wiedział. Postawszy chwilę, skierował się na prawo, bo zdawało mu się, że niegdyś przechodził, czy



przejeżdżał, tamtędy. Istotnie, zaledwie doszedł do połowy uliczki, wyraźnie sobie przypomniał, że raz z rodzicami jechał tędy na przejażdżkę i że ojciec mówił podówczas do matki: „tu sami ubodzy ludzie mieszkają.“

Przypomnienie to wprawiło znowu Jasia w wielką trwogę. Znajdował się więc w uliczce, zamieszkiwanej przez samych dziadów! Nuż wychodzić oni teraz zaczną z tych domków, które tak nędznie i krzywo wyglądają? Nuż pootwierają się wszystkie drzwi i wszystkie zamknięte okienice tych domków, a w każdym drzwiach i w każdym oknie ukaże się dziad z długą i wielką torbą! Jaś zląkł się tak bardzo, że z całej siły biedz zaczął, aby co prędzej minąć nieszczęsną uliczkę i wejść na inną.

Nagle stanął, jak wryty w ziemię. Przed nim, tuż przed nim, zarysowała się jakaś postać straszna i dziwna. Było to coś, co wyglądało na człowieka olbrzymiego wzrostu, tak olbrzymiego, że ramionami i głową przerastającego najbliższe domki. U dołu widać było czarną suknię, szeroko rozpostartą, wyżej — grube i nadzwyczaj szeroko rozwar-

te i trzęsące się ramiona, wyżej jeszcze, — długą brodę, która w zmroku nawet jak śnieg była białą, najwyżej — głowę, z długimi, białymi i rozwianymi włosami, kołyszącą się w różne strony. Jaś stał i patrzył na olbrzyma bardzo przełęczony, ale też trochę i ciekawy: ktoby to taki być mógł? Słyszał on nawet już i czytywał różne historie o olbrzymach, którzy takiego małego, jak on, chłopczyka, na jednym palcu wygodnie pomieścić mogą. Mówiono mu wprawdzie, że są to bajki i że naprawdę olbrzymi tacy nigdzie na świecie nie istnieją; teraz jednak, wobec dziwnego zjawiska, które miał przed sobą, Jaś pomyślał:

— A może to i nie bajki? Może olbrzymi są naprawdę i mieszkają w sąsiedztwie dziadów? Ale, jeżeli to olbrzym, to on mu nic złego nie zrobi. Olbrzymi bywają najczęściej bardzo dobrzy. Trzeba tylko podejść, grzecznie ukłonić się i poprosić, aby mi przejść pozwolił: kto wie? — może jeszcze zlituje się i do domu mię zaprowadzi!

Wszystko to jednak łatwiejszem było do pomyslenia, niż do wykonania. Jaś nie

mógł długo zebrać się na dostateczną śmiałość, aż nakoniec, gdy silnie już postanowił postąpić naprzód, przechodzień jakiś szybko przesunął się środkiem uliczki, a światło niesionej przezeń latarni szerokim promieniem upadło na tajemniczą, olbrzymią postać. Jaś zobaczył wyraźnie, że nie była ona czem innym, tylko drzewem, drzewem nawet niewysokiem, tuż przy parkanie rosnącym. Cień rzucany przez parkan wyglądał jak czarna suknia; ramionami olbrzyma były gałęzie, któremi wiatr poruszał; siwą brodą — gruby i puszysty nasyp śniegu, a głową — wierzchołek osypany też śniegiem i kołyszący się w różne strony pod powiewem wiatru.

Jaś pomyślał teraz, że wzięwszy już raz żywych ludzi za straszne cienie, a drugi raz drzewo za olbrzyma, powinien niczego się nie lękać, lecz śmiało i jaknajprędzej iść ku głównym ulicom miasta, które znał i z których mógłby trafić do domu. Trudność jednak była w tem, że na żaden sposób zmiarkować nie mógł, w której stronie znajdowały się te główne ulice i jakby ku nim iść należało. Musiały być one bardzo

odległe od miejsca, w którym się znajdował, bo napełniający je zwykle turkot i gwar nie dochodził tu zupełnie; natomiast cisza panowała głęboka i ostre powiewy, takie, jakie w środku miasta nigdy czuć się nie dają, z cichym szumem i pogwizdywaniem skądś przylatywały.

Jaś uczuł, że było mu coraz zimniej. Na krakowskiem ubraniu miał wprawdzie paltot dobrze watowany i z futrzanym kołnierzem, a na bucikach z podkówkami inne jeszcze, futrem wyłożone obuwie; niemniej jednak zimno dawało się mu już we znaki, przyczem plecy i ramiona bolały go od otrzymanych w tłumie szturhańców i popchnięć, a nogi boleć też zaczynały od zmęczenia.

Przez głowę przeszła mu myśl, że balik dziecinny u ciotki jego zacząć się już musiał, a zebrane tam dzieci siedzą sobie w ciepłym pokoju, przy jasno płonącej lampie i zajadają przysmaki, albo może i tańczyć już lub w gry bawić się zaczynają. Na myśl tę taki go żal ogarnął, że oparłszy się o parkan, twarz zakrył rękami i płakać zaczął.

Po chwili jednak pomyślał sobie, że płacz nie nie pomoże, że trzeba iść dalej i odważyć się do okna któregoś domku zastukać, aby o pomoc poprosić. Lecz skoro tylko twarz odsłonił, jakże zdziwił się i przeląkł znowu. Przed chwilą, chociaż zmrok panował gęsty, można było wybornie drogę przed sobą rozpoznawać i nawet parkany od domów odróżniać; teraz zrobiło się daleko ciemniej, tak ciemno, że Jaś dołu jakiegoś, znajdującego się w pobliżu, nie dojrzał, jakkolwiek dobrze przypatrywał się ziemi i upadł posunawszy się o parę kroków naprzód.

Stłukł się trochę, ale po chwili powstał. Wstając, spojrział w górę. Gwiazdy na niebie nie było ani jednej, a na twarz spadło mu coś tak mokrego i zimnego, że przez chwilę rękawem paltota oczy sobie przecierać musiał. Cicho, bez zawieruchy, bez żadnego prawie szelestu, śnieg padał wielkimi rzadkimi płatami i czasem tylko, w ciemności i ciszy, podmuchy wiatrów przelatowały z przeciągłym pogwizdem, albo w dali zaszumiało coś i zaturkotało, niby oddalony i szybko milkący grzmot.

Teraz Jaś zaczął już bardzo płakać. Zziębnięte ręce przyciskał do drżących ust i głośno szlochając, powtarzał:

— Boże, mój Boże! co ze mną będzie? co ze mną będzie?

Chciałby bardzo znaleźć dom jaki, aby do okna lub drzwi zastukać i o pomoc poprosić, ale daremnie chodził to w prawo, to w lewo, zapłakany wzrokiem usiłował przebić ciemność i ręką do koła siebie wodził: na żadną ścianę, na żadne nawet drzewo natrafić nie mógł. Wszędzie było pusto i pusto, ciemno i ciemno. Czuł tylko pod stopami coraz więcej śniegu i coraz mu trudniej było iść naprzód. To też zmęczony i zanosząc się od płaczu, przysiadł parę razy na ziemi, myśląc sobie, że tak przesiedzi, dopóki noc nie przejdzie i dzień nie nastąpi; lecz za każdym razem robiło mu się tak zimno, że mimowoli wstawał i zaczynał iść znowu, choć coraz powolniej i z większą trudnością. Nakoniec spróbował raz jeszcze poszukać w ciemnościach jakiego domu i, kilka kroków z wyciągniętymi naprzód rękami uszedłszy, natrafił istotnie na drewniany słup jakiś,

o którym pomyślał zrazu, że było to drzewo.

Nagle krzyknął i odskoczył. We wnętrzu słupa, którego dotknął, słychać było jednostajne dźwięczenie, takie zupełnie, jak gdyby w tym słupie brzęczał rój pszczół, albo syczało wiele naraz gotujących się samowarów.

Jaś przeląkł się znowu, ale po chwili przypomniał sobie co to znaczy. Przypomniał sobie, że parę razy, gdy wychodził z ojcem za miasto na przechadzkę, ojciec mówił mu, aby przybliżył się do słupów telegraficznych, przyłożył do nich ucho i posłuchał, jak one brzęczą i syczą. Był to więc słup telegraficzny, a domyśliwszy się już tego, Jaś dowiedział się zarazem, że znajduje się za miastem, w czystym polu, kędy słupy te, powiązane kilku drucianami niemi, długim stały rzędem.

Co tu teraz robić? Jakim sposobem wrócić do miasta, kiedy tak ciemno na świecie, zimno, śnieg pada, a nogi mdleją i uginają się pod nim, nie tylko już od zmęczenia, ale od strachu i wielkiego żalu?



Objął słup, przytulił się do niego i z całej siły wołać zaczął:

— Mamo! Mamciu! Mamciu!

A wołając tak, szlochał głośno i drżał od stóp do głowy.





3.

Wtem przestał szlochać i wołać matki. Z za mgły śniegowej, wprost przed sobą i w niebardzo wielkiej odległości, zobaczył błyskający ogień. Chwilami światło to wydawało się małą iskierką, a chwilami wielkim płomieniem, ale Jasiowi sprawiło ono wielką radość.

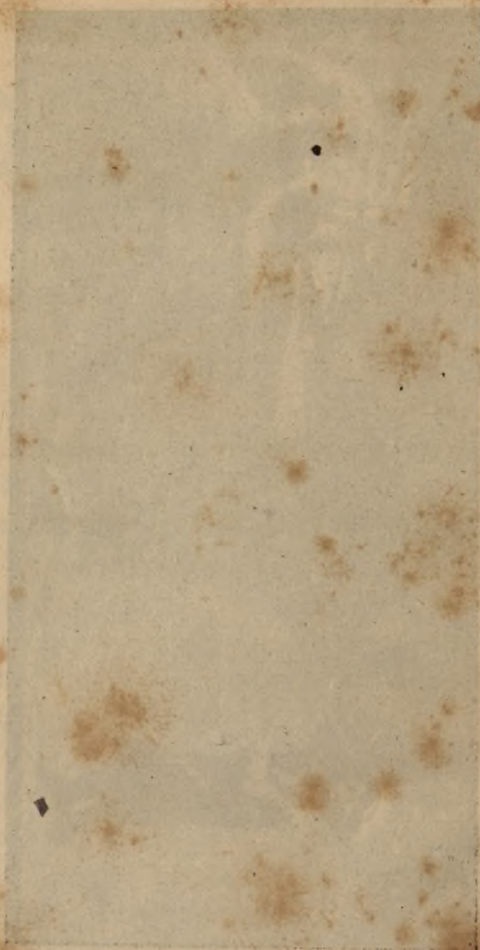
— Może tam jacy ludzie mieszkają i do domu mię zaprowadzą! — pomyślał.

A na myśl tę uczuł, że sił mu przybyło i że mógł jeszcze wybornie ująć kawałek drogi. Zaczął więc iść znowu, od czasu do czasu tylko zatrzymując się i odpoczywając przy słupach telegraficznych, których



Z za mgły śniegowej Jaś zobaczył ogień błyskający.

<http://rcin.org.pl>



brzęczenie i syczenie teraz, gdy miał nadzieję spotkać ludzi, bawić go już zaczynało.

Niebawem spostrzegł wyraźnie, że ogień, ku któremu zmierzał, palił się we wnętrzu sporego budynku, który nie miał wcale okien, a szerokie jego drzwi na oścież były rozwarte. Zbliżywszy się więcej jeszcze, Jaś zobaczył, że była to szopa z drzewa zbudowana; na samym jej środku, naprzeciw otwartych drzwi, znajdowała się jama i z tej to właśnie jamy buchał płomień, kołyszący się pod powiewem wlatującego przez drzwi wiatru.

W pobliżu płomienia siedzieli na ziemi trzej ludzie, dziwnie wyglądający. Mieli oni włosy gęste i rozczochrane, twarze bardzo czerwone, oczy bardzo błyszczące, a ubrani byli w białe fartuchy, które od samych szyi aż do stóp spadały, w rękę zaś trzymali fajki na krótkich cybuszkach, od czasu do czasu wypuszczając z ust grube kłęby dymu.

Obok tych ludzi, za nimi i przed nimi, leżały na ziemi długie i grube jakieś zwoje, czy wałki, w których Jaś, po

przypatrzeniu się, rozpoznał mnóstwo z gliny ulepionych, a jeden w drugi powstawianych, garnków.

Ludzie owi rozmawiali z sobą głośno i, jak się zdawało, dość wesoło, bo czasami śmieli się grubym, głośnym śmiechem.

Jaś długo stał na progu szopy, nie śmiąc zbliżyć się i nie wiedząc, jak przemówić do ludzi, którzy tak dziwnie byli ubrani i takie czerwone mieli twarze, a głosy grube i oczy w blasku płomienia także błyszczące. Pragnął jednak bardzo zbliżyć się do ognia i trochę się przy nim ogrzać. Po kilku więc minutach wahania wszedł do szopy, postąpił kilka kroków i cichutkim głosem wymówił:

— Dobry wieczór panom.

Więcej już nic powiedzieć nie mógł, bo zabrakło mu odwagi, ale najbliżej siedzący człowiek posłyszał to ciche odezwanie się i, spostrzegając Jasia, zawołał:

— Patrzcie no! A cóż to za kawaler zabłąkał się tu do nas, w nocy i w śnieżycę taką?

Inni ludzie obejrzeni się też i okazali wielkie zdziwienie. Ten, który go pierwszy

sposzrzegł, wyciągnął wielką i gliną oblepioną rękę, a schwyciwszy nią Jasia za paltocik, przyciągnął go ku sobie.

— Skądże to przywędrowałeś tu, kawalerze?—pytał—po co to łazisz po świecie nocami, jak mara po piekle? czego chcesz od nas?

— To panicz jakiś—ozwał się drugi: — w futerku i ładnej czapeczce...

— To prawda — potwierdził trzeci — ale skąd się on wziął tutaj?

— No—zawołał pierwszy—gadaj zaraz, kawalerze, coś ty za jeden?

Jaś przerywanym głosem i nawpół z płaczem opowiedział im całą swą przygodę i skończył prośbą, aby panowie byli tak łaskawi i zaprowadzili go do domu.

— A jakże nazywają się twoi rodzice? gdzie mieszkają?—jednogłośnie zapytali wszyscy trzej ludzie.

Jaś powiedział im nazwisko rodziców swoich, ulicę, przy której mieszkali, i nawet nazwę domu; ale człowiek, który trzymał go ciągle za rękaw od paltota, wydał się wiadomościami powziętymi mocno zakłopotanym.

— Hej hej! — zawołał — kawał drogi uszedłeś i już byś go po raz drugi tego samego wieczora pewno nie uszedł! Trzeba-by naprzód do miasta dojść, a potem aż prawie na drugi jego koniec się dostać. Przytem my stąd jeszcze odejść nie możemy, bośmy roboty swojej nie skończyli; dziecka mego w nocy z tobą nie poślę, bo jeszcze-by go w mieście, jak włóczęgę, zabrali... To już inaczej nie będzie, jak tylko, że u nas w chacie przenocujesz, a jutro raniutko Wincuk mój odprowadzi cię do rodziców.

Słyszac to, Jaś zaczął głośno płakać, tupać nogami i krzyczeć:

— Ja chcę do mamy! ja chcę do mamy! ja chcę do domu!

Ale człowiek ów na krzyki i tupanie jego żadnej nie zwracał uwagi. Obejrzał się i zawołał:

— Wincuk!

Na wołanie to z jamy, której dotąd Jaś nie spostrzegł, ale będącej zupełnie taką samą, jak ta, z której buchał płomień—tylko że w niej ognia nie było,—wyskoczył chłopiec, o parę lat starszy od Jasia, bosy,



w płóciennych majteczkach i spencerku, z okropnie rozczochranemi włosami i twarzą poplamioną przez glinę i sadzę. Trzymał w ręku glinianą figurkę sporej wielkości, trochę do konia, trochę do psa, a trochę do koguta podobną, wyskakując zaś z jamy, zawołał:

— A co, tatku! jaki kogut!

Jednocześnie przyłożył usta do znajdującego się w grzbiecie figurki otworu i przerażliwie weń zagwizdał.

— No, no! dość tej swawoli — rzekł ojciec — spójrz oto, jaki panicz spadł nam z nieba. Zabłądziło biedactwo i aż tu przylazło. Zaprowadź go do chaty, a niech mu tam babula i matka ciepłej strawy dadzą i spać położą....

Wincuk poskoczył i z szeroko otwartymi od ciekawości oczami chwycił Jasią za rękę, ale Jaś znowu płakać i upierać się począł, krzycząc, że nie chce do chaty, chce do mamy i do domu! Ojciec Wincuka zniercierpliwił się tem bardzo, wstał, tupnął nogą i krzyknął:

— Dość tych beków! zaraz mi iść, gdzie Wincuk poprowadzi! Nie porzucę przecież dla ciebie roboty i nieść cię nie będę w nocy, całe dwie wiorsty, boś już i za duży na to... nie udźwignę!

Jaś przeląkł się krzyku człowieka tego i posłusznie poszedł z Wincukiem, który, wyprowadziwszy go z szopy i trzymając za rękę, wnet bosemi nogami po gęstym śniegu różne dziwne skoki wyprawiać począł.

— Czy daleko do waszego domu? — nieśmiało zapytał Jaś.

— Ej nie, paniczu, niedaleko, bliziusieńko!—odpowiedział—my na *Garncarzach* mieszkamy, panicz wie? Ta uliczka, o wiorstę może od miasta, co się tak nazywa dla tego, że na niej od wieków sami tylko garnarze zawsze mieszkają.

Jaś nie słyszał nigdy o zamiejskiej uliczce, która nazywa się *Garncarze*, i zapytał: kimby byli ci panowie, którzy tam przy ogniu siedzieli, i coby takiego robić tam mogli? Wincuk wybuchnął głośnym śmiechem.

— To nie są żadni panowie — zawołał—tylko garncarze! Jeden z nich jest mój tatko, a dwaj tamci to sąsiedzi, którzy z tatkiem do wspólni szopę tę zbudowali... bo tatko mój biedny jest i sam nie miał za co.... Zbudowali tedy szopę na wspólną i razem w niej garnki wypalają... Dziś już dużo garnków w jednym piecu wypalili, a teraz rozłożyli ogień w drugim, żeby resztę wypalić... Ot co!

Tu podskoczył wysoko i dodał:

— I ja będę garncarzem. Tatko mnie uczy rzemiosła i dziś już sobie takiego ślicznego koguta ulepiłem!...

— Pokażesz mi tego koguta? — z zajęciem zapytał Jaś.

— A dlaczego nie? Z największą ochotą — odpowiedział Wincuk. — Marylka będzie z niego bardzo rada.

— Któż to taki, ta Marylka?

— To moja siostrzyczka, maleńka jeszcze, trzy lata ma; ale ja i mniejszą mam... taką... taką maleńką, w kołysce!

— I ja miałem także siostrzyczkę... taką malusienką... w kołysce.

— A teraz cóż? wyrosła?

— Ej nie! — smutnie odpowiedział Jaś — umarła.

— To szkoda—rzekł Wincuk i zarazem otworzył drzwi jakiegoś domostwa.

— Ot i chata nasza — rzekł — babula pewno krzycheć będzie... ona zawsze krzyczy...

Nie dokończył, bo Jaś, przechodząc male, ciemne sionki, potknął się o sprzęt jakiś, który upadł i stuknął. W tej chwili usłyszał za ścianą krzyżący głos:

— Kto tam taki po sionkach łązi i sztuki wyprawia? Pewnie to Wincuk... łotrzyk ten... do tej pory włóczy się...

Tu Wincuk drzwi otworzył i Jaś zobaczył wnętrze chaty garncarza. Była to izba dość obszerna, ale bardzo niska, z okopconymi ścianami i aż czarnym prawie sufitem. Pod ścianami znajdowało się parę stołów, kilka stolików i jedna długa ława, w głębi zaś izby palił się na kominie wielki ogień, a przed tym ogniem... przed tym ogniem stała kobieta, na której widok Jaś, ośmielony i rozweselony rozmową z Wincukiem, uczuł znowu ogarniającą go trwożę.

Była to kobieta wysoka, chuda, kości-  
sta, bardzo stara, z twarzą żółtą jak poma-  
rańcza i tak pomarszczoną, że gładkiego  
miejsca ani na dotknięcie szpilki na niej nie  
było. Zębów nie miała wcale, bo dziobaty  
nos jej stykał się prawie ze spiczastą i ku  
górze sterczącą brodą. Pasma białych zu-  
pełnie włosów z pod okręconej na głowie  
czerwonawej chustki, opadały na żółte czo-  
ło i policzki; ubrana była w grubą koszulę,  
krótką spódnicę i fartuch.

Stała przed ogniem i wygrzewała sobie  
ręce, a rozpostarte palce jej, chude i węzło-  
wate, przeświecały w ogniu i wyglądały  
jak szpony drapieżnego ptaka. Przytem,  
z odwróconą twarzą ku drzwiom, krzycza-  
ła ostrym i przeszywającym głosem, łajac  
Wincuka za to, że tak długo nie wracał  
do chaty.





4.

Jas nie śmiał poruszyć się, ale Wincuk szepnął mu po cichu, ażeby się nie lękał, bo babula, choć krzyczy, nic mu złego nie zrobi. Potem wziął znowu Jasia za rękę i przyprowadziwszy go do starej kobiety, opowiedział wszystko, o czem słyssał od ojca i co on mu powiedzieć kazał. Stara kobieta umilkła i z pod siwych brwi ciekawie na Jasia patrzyła. Potem zawołała:

— Anulka! Anulka!

W drzwiach, prowadzących z izby do małego i jedną malutką świeczką oświetlonego alkierzyka, ukazała się druga kobieta, młoda jeszcze, z pięknymi czarnymi

włosami i bladą, mizerną twarzą. Niosła na ręku trzyletnią dziewczynkę, która spała, z głową na ramię spuszczoną.

— Marylka! — zawołał Wincuk — Marylka! obudź-no mi się zaraz i zobacz, jakiego ci koguta przyniosłem!

Dziewczynka obudziła się, wyciągnęła ręce do Wincuka i glinianej figurki, którą jej pokazywał, i z objęcia matki zsunęła się na ziemię. Było to śliczne dziecko, w grubej koszulce, z bosemi nóżkami i białą, mizerną twarzą, otoczoną włosami jasnymi jak len.

Stara tymczasem krzycheć zaczęła na matkę Wincuka i Marylki, że chorą będąc, dźwiga jeszcze takie duże dziecko; lecz, gdy ta łagodnie odpowiedziała, że Marylka, bawiąc się u niej na kolanach, usnęła, a ona lękała się budzić słabe i niezdrowe dziecko, stara przestała gniewać się i Jasia jej pokazała, opowiadając, jakim sposobem się tu znalazł.

— O biedna dziecina! — zawołała kobieta z czarnymi włosami i przysiadłszy na ziemi, zdjęła coprędzej z Jasia paltot i fu-

trzane buciki. Zaledwie jednak uczyniła to, gdy za plecami jej Wincuk i Marylka krzyknęli ze zdumienia i ona sama plasnęła rękami, mówiąc:

— O, Boże mój! jakież to piękne ubranie!

I stara także kiwała głową, uśmiechała się i mówiła:

— Ależ panicz ubrany! gdyby krakowiak! czysty krakowiak!

Marylka z za ramienia matki wlepiła zaintrygowane oczy w błyszczącą złotymi blaszkami pelerynkę Jasia, a Wincuk, śmielszy od małej swej siostry, ukłękawszy przy Jasiu, oglądał buciki jego z podkówkami i stałą nabijany pasek.

— O to pasik! — mówił — oto precudny pasiczek!

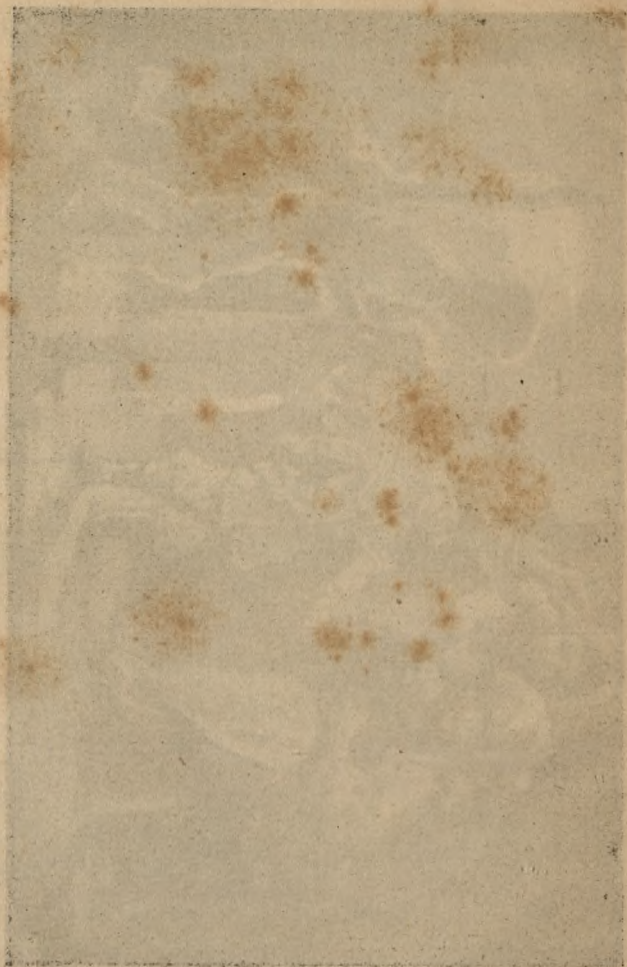
Garncarzowa tymczasem, rozebrawszy Jasia, przysunęła stółek do ognia i uprzejmie zapraszała, aby usiadł i ogrzał się; stara babka zaś z wielką ciekawością zaczęła się rozpytywać: dokąd to wybrał się w takim paradnym stroju, kim byli rodzice jego, czy długo błądził, czy bardzo mu straszno było samemu wśród ciemności i śnieżycy takiej?





<http://rcin.org.pl>  
W chacie garniarza.

11. opoła k...  
11. opoła k...



Jasiowi zrobiło się w bliskości ognia bardzo ciepło i przyjemnie; garnarczowa pocałowała go w głowę, Marylka zaś obu łokciami oparła się o jego kolana i nie bardzo wyraźnie, ale wesoło szczebiocąc, dotykała wciąż paluszkami to paska jego, to pelerynki, to czerwonych naszyć bluzki. Zupełnie więc ośmielony i szczebiotem Marylki nawet rozśmieszony, Jaś zaczął obszernie i z coraz większym zapalem opowiadać o wszystkim, co mu się dnia tego wydarzyło. Wszyscy obecni słuchali z uwagą i ciekawością, a stara babka, wzięwszy wielką drewnianą łyżkę, wyjęła ze stojącego przed ogniem garnka kilka ugotowanych kartofli i dając je Jasiowi, w drugą rękę mu soli nasypała.

— Jedz, jedz—rzekła—posyp kartofle solą, to ci lepiej smakować będą... głodne być musisz, niebożátko!

Mówiąc to, przesunęła pomiędzy włosami Jasia kościste i węzłowate palce. Wogólności, stara babka przy bliższem poznaniu zyskiwała wiele, stawała się mniej brzydką i straszną, a chwilami trochę nawet podobną do ciotecznej babuni Jasia, która była także bardzo, bardzo stara i którą Jaś

bardzo kochał. Kiedy śmiała się, usta jej, zupełnie tak samo jak u babuni Jasia, rozciągały się szeroko, od ucha do ucha prawie; tak samo trzęsa głową i takie same zmarszczki zbiegały się nad siwymi jej brwiami.

To też Jaś jadł chętnie kartofle z solą, a odpowiadając Marylce i Wincukowi na różne ich zapytania, zaczął bawić się dość wesoło, gdy otworzyły się drzwi i ukazał się w nich człowiek wysoki i barczysty, z krótko przystrzyżonym, siwym zarostem dokoła twarzy i czemś bardzo długim, zębistym i błyszczącym na plecach. Jaś ze zdziwieniem i trochę już z przestachem patrzył na przedmiot przez człowieka tego niesiony i wtedy dopiero, kiedy przybliżył się do ognia, poznał, że była to wielka i doskonale wyczyszczona, więc błyszcząca piła.

Na widok wchodzącego, stara babka, przestając mieszać w garnku, zawołała:

— Widzisz, ojcze, jakiego to mamy dziś gościa!

Stary odpowiedział, że wie już o wszystkim od Janka, z którym spotkał się u wejścia do chaty. Tu wszedł i ojciec Wincuka i Marylki, którego przybycie ucieszyło wi-

docznie garnarczową. Błada twarz jej przybrała wesoły wyraz; podniosła głowę z nad roboty, szyla bowiem przy świetle ognia grubą jakąś koszulę i skinęła głową ku mężowi.

— Wcześniej wróciłeś, Janku—rzekła—myślałam, że chyba po północy skończysz robotę.

Garnarcz powiedział, że dopilnowanie nieskończonej roboty powierzył sąsiadom, a sam do domu pospieszył, bo niespokojny był o małego panicza, aby się pomiędzy nieznanymi ludźmi bardzo nie lękał.

— Ja wcale nie lękam się — głośno i śmiało powiedział Jaś.

— A cóż to, czy to my dzikie zwierzęta, żeby się nas lękać?

Tak ozwał się stary człowiek, który przyszedł z piłą, a teraz, piłę postawiwszy w kącie izby, zdjął siermięgę i na ławie za stołem usiadł.

— Matko! — zawołał do starej — hej matko! pół sążnia drzewa dziś spiłowałem: wieczera mi się należy!

Stara, gderząc i gniewając się za przypomnienie o wieczery, zaczęła na trójnóżku skwarzyć kawałek słoniny, a Jaś, zsunąwszy

się ze stolka, pociągnął ją z lekka za fartuch.

— Kto to taki? — zapytał, wskazując głową starego.

Baba zaśmiała się znowu tak, że usta jej rozciągnęły się od ucha do ucha.

— Aha! ciekawy jesteś, mój paniczku! No, chodź tu do mnie, zanim słonina uskwarzy się, opowiem ci wszystko: co my za jedni i do czyjej to chaty razem ze śniegiem spadłeś.

Objęła Jasia ramieniem, przytuliła go mocno do siebie i pochylając się nad nim, powiedziała, że ona sama pochodziła ze szlacheckiej zagrody i młodą będąc, służywała po dworach za pokojową lub praczkę, jak się zdarzyło. Potem wyszła za tego starego, tylko, że nie był wtedy wcale starym. Ciesłą był dostatnim, a porządnym. Ale nieszczęścia różne im się przytrafiały, na starość nic sobie zebrać nie mogli, a odkąd jedyną córkę wydali za garncarza, mieszkają przy dzieciach. Stary, choć stary i ciesłą już być nie może, pracuje przecież, do pilowania

drzewa najmuje się, aby tylko u córki i zięcia na łaskawym chlebie nie siedzieć.

— Oni i sami ubodzy... dodała.

— Oni ubodzy?!—tonem zdziwienia zawołał Jaś.

— A pewno — odrzekła stara; my tu wszyscy ubodzy. Myślicie, paniczu, że z lepienia garnków i piłowania drzewa po pańsku żyć można, szczególnie kiedy w chacie siedm dusz jest do nakarmienia i przyodziania? Ale toby jeszcze nic nie było, gdyby się była Anula dwa lata temu nie rozchorowała. Od dwóch lat nie domaga ona i nie domaga, a Janek bardzo jej żałuje, więc tedy do doktorów i do apteki chodzi a chodzi... a to dużo pieniędzy z domu wyciąga, tak, że już ich potem na niedzielny kawałek mięsa brakuje...

— A dlaczego niedzielny? — zapytał Jaś.

— Bo my, paniczu, w niedzielę tylko mięso jadamy i to nie zawsze...

Kiedy tak Jaś ze starą babką rozmawiał, garncarz nosił po izbie Marylkę i czasem podrzucał ją aż pod sufit, a potem

chwycił w powietrzu, z czego ona i Wincuk, a nawet mizerna garncarzowa, śmieli się na głos cały. Stary tracz tylko głodny był i niecierpliwił się, że mu wieczerzy nie dają.

— Matko! —zawołał znowu—dawajcież prędzej!

Stara rozgniewała się bardzo i krzyczeć zaczęła:

— Czy to nie widzicie, że Mikołaja jeszcze nie ma, a bez niego wieczerzać grzech byłby i ubliżenie jemu!... Nie możecie to poczekać cierpliwie?

Kiedy uspokoiła się i przestała, Jaś, wskazując jej starego, zapytał znowu:

— Wszak ten... pan to mąż pani?

— Aha — odpowiedziała — wszak ci to już mówiłam...

— A dlaczegoż pani nazywa go: ojcie! a on panią: matką? Mama moja i mój ojciec nazywają się po imieniu.

Stara zaczęła śmiać się bardzo, trząść głową i wołać:

— Ot ciekawy paniczyk! ot roztropne dzieciątko! jakie to ono pytanie zadaje! Aj, śmiech, doprawdy, czysty śmiech!



Po chwili jednak przestała się śmiać.

— Oj paniczul!—mówiła—długobym ja, długo gadać musiała, gdyby opowiadać przyszło, dlaczego ubodzy ludzie jedni drugich, ojcem i matką nazywają. A któż nam ojcem i któż nam matką, jeśli nie my jedno dla drugiego? U bogatych—inaczej. Oni mają wielkie pokoje, sługi, które ich w robocie każdej wyręczają. My, w ciasnej izbie, zawsze jedno drugiemu służym; on pracował na kawałek chleba dla mnie i był przez to jakby ojcem, karmicielem moim; ja pilnowałam, aby mu wszystko w porę było i do gustu, a kiedy, bywało, zachorował, dzień i noc przy nim siedziałam, doglądałam i byłam mu przez to matką. A kiedy zgryzota jaka, albo bieda, on do mnie przychodził, jak do matki, żebym go pocieszyła, a ja do niego, jak do ojca, żeby poradził. Ot dlaczego nazywać się ojcem i matką zwyczajem u nas się stało... i nie tylko u nas, ale i u wszystkich ubogich ludzi, którzy, tak jak my, biedują i pracują, a starają się wiek swój przeżyć.

— To wy jesteście ubodzy?—raz jeszcze zapytał Jaś, ale w tej samej chwili, zawołał:

— Wincuk! Wincuk! ja chcę twoją malusienką siostrzyczkę zobaczyć!

— Idź, pokaż paniczowi Magdusię! — rzekł ojciec do Wincuka, który, porwawszy Jasia za rękę, wybiegł z nim do alkierza.

Marylka pobięła też tam za nimi.





## 5.

A lkierzyk oświetlony był żółtą, małą świeczką, palącą się w drewnianym lichtarzyku. Pomiedzy stołem, na którym paliła się świeczka, a łóżkiem garncarzowej stała kołyska, w której głębi, na pościółce z czystego, ale szarego i grubego płótna, spała malutka, roku jeszcze niemająca, dziecina. Miała ona włoski takie same, jak u Marylki, jeszcze gdyby len—okrągłą różową twarzyczkę i różowe, jak kłębuszki okrągłe, rączki. Spała spokojnie i może śniło jej się coś przyjemnego, bo tak uśmiechała się przez sen, jak gdyby wnet miała oczy otworzyć i zaśmiać się głośno.

Jaś, Wincuk i Marylka stanęli przy kołysce i z początku nie rozmawiali z sobą wcale. Owszem, kiedy Marylka, chcąc siostrzyczkę zobaczyć, podskoczyła i bosemi nóżkami o podłogę głośniej trochę uderzyła, Jaś przyłożył palec do ust i syknął:

— Ci... i... cho!

Potem dopiero, kiedy już dobrze przypatrzył się Magdusi, cichutko szepnął:

— Wiesz, Wincuk, twoja siostrzyczka bardzo jest podobna do tej mojej.. która umarła!

— Podobna? — zadziwił się Wincuk.

— Takusieńka! takusienieczka! szeptał Jaś, taka sama buzia i takie same rączki.. ja bardzo mojej siostrzyczki żałuje! A ta... to zupełnie... jakby tamta!

Nachylił się i leciuchno, lękając się ją obudzić, różową piąstkę Magdusi pocałował. Marylka zaś z drugiej strony kołyski wspięła się na kolana Wincuka i pocałowała Magdusię w drugą piąstkę. Potem Jaś obejrzał się po alkierzyku i spostrzegł u stóp glinianego pieca rozrzucone zabawki. Poskoczył ku nim

i siadł na ziemi przy piecu, a Wincuk i Marylka naprzeciw niego.

— Co to? — zapytał Jaś, podnosząc z ziemi brunatną i nadtłuszczoną figurkę z gliny.

— To *kizia* — wyjaśniła go Marylka.

— To jest kot — poprawił siostrę Wincuk. Jaś zaczął bardzo śmiać się.

— Ależ to wcale do kota niepodobne! — zawołał — to nie wiadomo co... takie brzydkie!

Wincuk zdawał się zasmuconym naganą, którą Jaś udzielił ulubionej jego zabawce, a Marylka, uderzając rączką o rączkę, wołała:

— To kicia... kicia... ładna kicia... miła kicia!

— A to co? — zapytał znowu Jaś, wyciągając z pod pieca bałwanek sporej wielkości, z łachmanów różnych utworzony, posiadający białą głowę, na której atramentem wymalowane były włosy, oczy, nos i usta.

— Lala! — zawołała Marylka i wyrwała bałwanek z rąk Jasia.

— To lalka Marylki! — nieśmiało już trochę wyjaśnił Wincuk.

— Fi! jaka brzydka! Wszystkie wasze zabawki brzydkie. Czy to ładniejszych nie macie?

Wincuk smutnie trochę odpowiedział, że ładniejszych zabawek nie mają i nie mieli nigdy, a Marylka, kołysząc bałwanka w ramionach, krzycząc zaczęła

— Lala ładna! lala caca! luli lala, luli, luli, lu... lu... lu...

— No, to ja mam daleko ładniejsze...— rzekł Jaś i zaczął opowiadać o wielkim koniu drewnianym na takich kółkach, że jak tylko popchnąć go trochę, to już się sam przez caluteńki pokój potoczy; o saniach takich dużych, że w nich dwa bałwanki pomieścić by się mogły, a które zaprzężone są dwoma gniademi końmi i na kozłach mają furmana po krakowsku ubranego; o strzelbie, do której są prawdziwe pistony i trzeba tylko pistony te umieścić, gdzie należy, a potem kurek pociągnąć, to tak głośno wystrzelili, że w drugim pokoju słychać; o książkach w ładnej oprawie, ponsowej, albo błękitnej i z obrazkami, na których wymalowane są różne zwierzęta, ptaki, drzewa, kwiaty a wszystko jakby żywe.

Wincuk słuchał opowiadań tych z takim zajęciem, że aż usta szeroko otworzył i Marylka także, upuściwszy z rąk bałwanka, słuchała. Kiedy Jaś opowiadać przestał, Wincuk potrząsał głową i smutnie powiedział:

— Dobrze paniczkowi, że takie ładne zabawki ma... my ubodzy, nigdy takich nie będziemy mieli.

Jasiowi bardzo jakoś zrobiło się smutno. Pożalował on Wincuka i Marylki i zawołał:

— Owszem! owszem! będziecie mieli! Gdy mnie jutro do domu odprowadzisz, to ci różnych zabawek dam... Mama i ojciec pozwolą... i mamy poproszę, żeby dla Marylki śliczną lalkę z prawdziwemi włosami kupiła...

Zaledwie słów tych domówił, Wincuk zarzucił mu na szyję obie ręce i tak go mocno całować zaczął, że wszystka glina, którą był powalany, na twarzy Jasia została. Potem z wielkiej radości upadł na wznak, przewrócił koziółka i usiadł na ziemi, pośrodku alkierzyka, tak śmiejąc się, że aż błękitne oczy jego, jak turkusy, a białe zęby, jak perły, błyszczały. Jaś ze swej strony na-

przód otarł rękawem glinę z twarzy, a potem schwycił Marylkę za ramiona i nie wiadomo dlaczego, ale serdecznie i głośno w oba policzki ją wycałował. Jednocześnie dał się słyszeć z izby ostry i gderliwy głos starej babki:

— Dzieci! wieczerzać chodźcie!

Porwali się z pod pieca wszyscy troje i na wyścigi do izby wpadli. Tu jednak Jaś stanął jak wryty, bo zdziwił się a także i przeląkł znowu trochę. Na ławie, za stołem, pomiędzy starym traczem a garnca-rzową, w podartej siermiedze i z siwą, długą brodą siedział — dziad. Jaś za-ledwie na niego spojrział, poznał zaraz, że był to ten sam żebrak, któremu dziś, z rozkazu ojca, z taką niechęcią i bojaźnią srebrny pieniążek podał. W wielkiem przerażeniu i zakłopotaniu mimowoli podniósł do włosów obie ręce, a oczu od ziemi oderwać nie mógł. Gdy tak stał, posłyszał, że żebrak, ochrypłym trochę głosem, mówił:

— O dla Boga! toż to ten sam paniczyk, który mi dziś złotówkę dał, kiedym do jego rodziców przyszedł o wsparcie prosić! Wi-



działem ja, widziałem wprawdzie, że paniczek straszliwie starego dziada się lękał, ale nie dziw, w bogactwie to wychowane i ubogich ludzi nie widuje nigdy, a przytem u panów taki zwyczaj, że dziadami dzieci straszą.

Kiedy dziad wymówił te słowa, stary tracz, który z wielkiego bochenka razowy chleb dla wszystkich kroił, odezwał się

— Oj źle to, źle i wstyd wielki, że paniczek ubogich nie lubi i lęka się...

Jasia wstyd i żal jakiś ogarnął.

— Ja wcale nie lękam się — zawołał — wcale ubogich nie lękam się...

— A no — śmiejąc się już, rzekł dziad — jeżeli nie lękacie się, to chodźcie tu i siadźcie przy mnie. Będziemy w sąsiedztwie z sobą wieczerzali.

Jaś zawahał się jeszcze. Jakkolwiek bowiem wstydził się bardzo trwogi swej, a szczególnie zawstydzał go stary tracz, który patrzył na niego bardzo bystremi i trochę srogimi oczyma, to jednak dawne przyzwyczajenie od razu ustąpić nie mogło. Ale garnarczowa zawołała go, aby usiadł pomiędzy nią a Mikołajem. Tak nazywano dziada.

Garnarczowa była tak łagodną i tak delikatnie wyglądała, że Jaś usłuchał jej od razu i siadł na miejscu, które mu wskazywała. Z drugiej strony stołu siedział tracz, garnarcz i Wincuk, trzymający na kolanach Marylkę.

Stara babka postawiła na stole ogromną misę, pełną krupniku z kartoflami i ze słoniną, a każdej z obecnych osób dawszy po drewnianej łyżce, sama też przy stole, obok męża swego, usiadła. Przed Jasiem tylko garnarczowa postawiła osobny, krupnikiem napełniony talerz; wszyscy inni czerpali z jednej miski, na środku stołu umieszczonej.

Jaś pierwszy raz w życiu widział, aby kilka na raz osób z jednego naczynia jadło i bardzo się tem zadziwił; nie miał jednak czasu zapytać: dlaczego tak było? bo stara babka mówić zaczęła:

— Paniczyk zdziwił się bardzo, zobaczywszy tu u nas starego dziada, Mikołaja. Otóż paniczowi powiedzieć muszę, że ja i Mikołaj jesteśmy z sobą dawni znajomi. Sługiwaliśmy za młodu po jednych domach: ja za pokojową, albo praczkę, on za stangreta...

Ostatni wyraz zaciekał bardzo Jasia. Lubił nadzwyczajnie konie, a stangreci mają z końmi do czynienia. Niosąc do ust łyżkę z krupnikiem, po raz pierwszy odważył się popatrzeć na dziada.

Dziad spostrzegł to zaciekawienie Jasia.

— Stangretem byłem, paniczu — rzekł — a jakże? I jakim jeszcze! Dzieckiem wzięli mnie ze wsi za chłopca do stajni, a potem, kiedym wyrósł jak dąb i wąs miałem czarny długi taki, że aż na piersi spadał, nieboszczyk pan marszałek powiedział, że tęgi będzie ze mnie stangret . . .

Jaś znowu popatrzył na dziada i nie mógł powstrzymać się od śmiechu na myśl, że on miał niegdyś czarne wąsy. Były one teraz gęste jeszcze i długie, ale białe jak mleko.

— Śmiejecie się paniczu, żem ja czarne wąsy miał niegdyś — zgadując myśl Jasia, ciągnął dalej Mikołaj — oho! a jaką moc i zgrabność w rękach miałem! Dla mnie, bywało, sześć koni, wprost ze stadniny wziętych, do węgierskiego woza zaprządz i lecieć potem niemi, po drogach drożynach i wertepach róż-

nych, to zabawa była. Ażeby nie wiem jak rwały się i leciały, nietylko w rękach moich nie uniosą, ale koło o kamień żaden nie stuknie i kłosa żadnego, przy drodze rosnącego, nie ugnie! Oprócz mocy i zgrabności w rękach miałem ja jeszcze wielkie u koni szczęście. Lubiły mię, jak dzieci ojca. Ale dlaczego tak było? Był to już mój sekret: taki ot cały sekret, żem z nimi jak z dziećmi postępował. Każdego z nich naturę i upodobanie i narów znałem, jak samego siebie, i stosownie do tego z jednym srożej, z drugim łagodniej, a z innym to już całkiem łagodnie, i gdyby z ogniem ostrożnie, byłem. Karmiłem ich, bywało, chlebem własnym, a czasem, jak zacznę którego z nich głaskać, a rozmawiać z nim, to, sam nie wiem, jak dwie godziny w lot przelecą, a koń głowę na mojem ramieniu kładzie, w oczy mi patrzy i zdaje się, że ot wnet, wnet zagada do mnie. To też nietylko głos, ale chód mój znały. Nie wejdem jeszcze, bywało, do stajni a one wszystkie głowy podwracają i jak jeden zarzą; czują, że już idę. Co zaś do głosu, to tak bywało: sześć ich do karety za-

łoże, bystrych takich, że zdaje się, ogień im z pysków bucha i wprost od stajni przez ogromny dziedziniec puszczam pełnym galopem, a dopiero przed gankiem, kiedy panowie stają tam i patrzą, z cicha sobie syknę: cy — y — y — t! lejcami ani poruszając; moja zaś szóstka, jak pędziła pełnym galopem, tak i staje od razu a żaden ani drgnie, ani parsknie... jak z kamienia wykute, wszystkie jak w ziemię wryte... stoją i słuchają, co ja im dalej robić każę...





**K**iedy Mikołaj opowiadał, Jaś słuchał go z taką ciekawością, że aż parę razy krupnikiem usta sparzył i ciągle przy tem przypatrując się dziadowi, spostrzegł, iż, starzec mówiąc o koniach, ożywił się i popiękniał jakoś. Pod krzaczystemi, białemi brwiami oczy mu zabłyszczały i przynajmniej połowa zmarszczek z twarzy znikła. Mikołaj zauważył, że Jaś nie lęka się go już wcale, objął więc go i posadził na kolanach.

Wyławiał z krupniku najpiękniejsze skwarki i sporą ich ilość położył na talerzu Jasia. Garnarczowa ze swej strony kładła na talerz ten największe i najlepiej rozsypu-

jące się kartflœ. Jaś jeść już nie chciał, lecz, kiedy położył na stole łyżkę, wszyscy zaczęli bardzo uprzejmie zapraszać go, aby jadł więcej, garnarczowa zaś zawołała:

— Ot są jeszcze w domu pastylki, co mi je doktor od kaszlu przepisał... słodkie takie: może paniczowi smakować będą.

Pobiegła do alkierza i wróciła zaraz z garstką pastylek, które Jasiowi w rękę wysypała. Jaś grzecznie podziękował i wziął jedną pastylkę do ust, ale zaraz skrzywił się bardzo. Pastylki, od kaszlu przepisane, napszczane były oliwą czy czemś może innym, ale bardzo niesmacznem. Wincuk za to patrzył ciągle na pastylki, co widząc Jaś, przez stół mu je podał, a potem ze zdziwieniem patrzył, jak on te obrzydliwe dla niego rzeczy z największym smakiem gryzł i zajadał. Pomyślał też sobie, że jutro, kiedy już wróci do domu, poprosi mamę, aby Wincukowi i Marylce dała takich ciastek i cukierków, jakie on sam tak często dostaje i zjada.

—Biedny Wincuk, biedna Marylka—myślał Jaś—dla nich i te obrzydliwe pastylki smaczne!

Tymczasem wieczerza była już skończona. Stara babka, zdejmując ze stołu naczynia i resztki jadła, rozgderala się znowu. Krzyzczała na córkę, na zięcia, na Wincuka, nie wiedzieć za co, ot, tak! przyczepiała się do każdego to o to, to o owo, byle gniewać się i krzyzczyć. Tylko na starego tracza i na dziada Mikołaja nie krzyzczała wcale, a ponieważ córka, zięć i wnuk odpowiadali jej łagodnie, albo wcale nie odpowiadali, uspokoiła się prędko i zcicha już tylko mruczając, zaczęła myć i wycierać garnki, misę i łyżki.

Przez cały ten czas Mikołaj trzymał Jasia na kolanach, opowiadał mu historyjkę o jakimś starym koniu, którego od urodzenia hodował i pieścił. Koń ten żył sobie długo w pańskiej stajni, w łaskach i wygodach wszelkich. Mikołaj potem spotkał go wożącego wozy ze zbożem do młyna, chudego takiego, że tylko kości z niego, a on go poznał widać, bo, zobaczywszy, podniósł łeb i zarżał.

Opowiedziawszy historyjkę tę, Mikołaj zaczął Jasia na kolanach podrzucać, nucąc przytem

Jedzie sobie pan  
Hopapa! hopapa!



A za panem chłop, chłop.  
Hop! hop! — hop! hop!  
A za panem cygan, cygan.  
Klap! klap! — klap! klap!

Jaś aż kładł się od śmiechu, a Mikołaj popatrzywszy mu w twarz, pocałował go w same usta.

Jaś krzyknął:

— Fi! fi! — i odwrócił się. Z ust dziada wionął na niego bardzo przykry zapach wódki.

— Coście tam, Mikołaju, paniczowi zrobili? — zapytała z alkierza garncearzowa.

Dziad śmiał się.

— Hej, hej! — wołał — jak paniczyk skrzywił się strasznie od całusa mego! A ja wiem, co to znaczy! Wódka paniczowi z gęby mojej zaleciała. Prawda, co?

Jaś, zawstydzony trochę, nie skłamał jednak, ale twierdząco głową skinął. Dziad śmiał się jeszcze chwilę, ale potem sposepniał, brwi mu się najeżyły i mnóstwo znowu zmarszczek na twarz wystąpiło.

— A, wypilem ja dziś kieliszek wódki i nie jeden — zaczął ponuro — ale niech się znowu panicz tak nie krzywi, że biedny człowiek wódką mu czasem zapachnie. A czy

panicz wie, jakim sposobem Mikołaj nauczył się pić gorzałkę, tak że jej czasem i zanadto wypije? Czy panicz widział kiedy stangretów, co w mróz siarczysty, albo w słotę taką, że deszcz i mgła do szpiku człowiecze kości przejmują, siedzą na kozłach godzinami, hej! dniami nieraz i nocami całymi na panów swoich czekając... Siedzę i ja tak, bywało, rękami o piersi biję z mocy całej, a tu nogi kostnieją i po plecach dreszcze chodzą i głód dokucza, bo choć w domu jest co zjeść, ale koni i powozu nie porzucisz dla jedzenia, ani odjechać ci nie wolno... Wtedy, paniczu, kieliszek gorzałki dobry, oj! bardzo dobry! rozgrzeje i nasyci, a potem za nim, ot tak nieznacznie, pójdzie drugi i trzeci i picie w zwyczaj zamienia się. A to jeszcze wielkie szczęście, jeżeli przez ten zwyczaj człowiek nie zamieni się w bydlę... Nie ze szczęśliwości pochodzi to, paniczu, nie ze szczęśliwości..

Jaś łzy miał w oczach i chciał bardzo przeprosić dziada za to, że tak niegrzecznie odwrócił się był od niego, ale nie wiedział sam, jak to zrobić i co powiedzieć.

Dziad sam znowu mówić zaczął:

— Wielka to bieda, paniczu, kiedy człowiek, który cały wiek ciężko pracował, na starość o miłosierdzie ludzkie prosić musi. Czterdzieści lat służyłem u panów różnych, później, kiedym już moc w ręku i piękną postawę stracił i stangretem już być nie mogłem, rąbałem drzewo i nosiłem wodę; aż nakoniec i do tej roboty sił zabrakło, przyszedłem do miasta i dziadem zostałem... Jaki grosik zbieram, tu go przynoszę, a dobrzy ludziska karmią mię i pod dachem swoim nocować mi pozwalają... Ot jak... ot jak... na starość!

Trząśł głową i wzdychał.





Garncarz ustąpił Jasiowi łóżka swego w alkierzu, a sam w pierwszej izbie spać się położył.

Jaś zasnął zaraz, ale w nocy obudził się i przypomniawszy sobie, że nie jest w domu, lecz pomiędzy obcymi ludźmi, miał już na głos rozplakać się, gdy usłyszał w ciemności miarowe stukanie kołyski i śpiew garncarzowej, starającej się uspić płaczącą Magdusię. Jakoż dziecko wnet płakać przestało, ale przez kilka minut jeszcze bieguny kołyski stukwały o podłogę: tik, tak! tik, tak! a garncarzowa nuciła: luli, luli, dzieciątko moje, luli!

Jaś przypomniał sobie, że kiedy mała siostrzyczka jego była bardzo chora, matka po całych nocach często siadywała nad nią, a kołyska siostrzyczki zupełnie tak samo stuknęła: tik, tak! tik, tak! i matka jego, tak samo śpiewała: luli, luli, dzieciątko moje, luli!

— Tak samo... tak samo... tak samiu-  
teńko! — myślał Jaś i przy łagodnym śpiewie  
garnarczowej usnął znowu smaczno i spokojnie.

Nazajutrz garnarcz, ubrawszy się w porządny, choć gruby surdut, sam odprowadził Jasia do mieszkania rodziców i kiedy obsypywany przez nich podziękowaniami za gościnność i opiekę, dziecku ich udzieloną, odchodzić miał, Jaś przyniósł mu mnóstwo zabawek i przysmaków, prosząc, aby oddał je Wincukowi i Marylce. Potem objął go mocno za szyję i długo mówił, żeby pokłonił się od niego babulce i pani garnarczowej, staremu Mikołajowi, Wincukowi, Marylce i wszystkim... wszystkim.. wszystkim!

Od dnia tego największą przyjemnością Jasia jest chodzić z rodzicami po tych dzielnicach miasta, wśród których znajdują się

domki najbardziej pozapadane i stare. Widok domków takich zaciekawia go nadzwyczajnie; a gdy tylko rodzice pozwalają na to, wchodzi do nich i zaznajmia się z mieszkającymi w nich ludźmi. Rad jest bowiem zawsze dowiedzieć się: jak oni tam żyją i pracują — i czy czasem nie potrzebują czegoś, o coby on rodziców swych mógł poprosić.

Ubogie dzieci zajmują go też bardzo. Wincuka i Marylkę widuje często, ale i z innymi dzieli się nieraz zabawkami i przysmakami swemi.

Żebraków nie lęka się też zupełnie; owszem, zawiązuje z nimi długie rozmowy, dopytując się ich: kim byli za młodu, co robili i jakim sposobem przyszli do biedy i żebractwa? Nieraz też opowiadają mu oni ciekawe historie, od których Jasiowi łzy w oczach stają i przez które, coraz lepiej rozumieć zaczyna wielką różnorodność zajęć i losów ludzkich.

Dobrzy i rozumni rodzice Jasia nie wzbraniają mu tych znajomości i rozmów, bo przekonali się, że w dobrem jego sercu życzi-



Jaś prowadzi z żebrakami długie rozmowy.



Jan. 17. 1785. x. 1785. 1785. 1785.



wość i współczucie dla ubogich rozwinęły się wtedy dopiero, gdy zobaczył ich na własne oczy, gdy ich życie, prace, cierpienia, przymioty i nawet wady poznał za pomocą spostrzegania i doświadczenia własnego.

K O N I E C











K 1706

K  
1706

Wydawnictwa księgarni H.

we Lwowie

dla dzieci i młodzieży:

<b>Władysław Bełza.</b> Matka, w opr. płóciennej . . . .	—50
— Dla dzieci, Cz. I. kart. . . . .	1·20
— „ „ Cz. II. „ . . . .	1·20
— „ „ Obie części razem op.	2·40
<b>Wład. Bełza-Rossowski.</b> Czarodziejska książeczka, 15 prześlicznych obrazków z wierszykami, kartonowane . . . . .	1·50
<b>Władysław Bełza.</b> U kolebki wieszczka. Żywot Adama Mickiewicza z 31 rycinami, kart. . . . .	1·20
ozdob. opraw. . . . .	1·60
<b>J. I. Kraszewski.</b> Bajeczki, z ilustracyami E. M. Andriollego, kart. . . . .	1—
ozdob. opraw. . . . .	1·20
<b>Lazarusówna.</b> Opowiadanie wróbelka, z ilustracyami Dębickiego, kart. . . . .	—80
<b>Eliza Orzeszkowa.</b> Przygody Jasia. Opowiadanie dla dzieci z rys. Antoniego Kamińskiego kart. . . . .	—50

